„Wieczór" rozmawia z Barbarą Krafftówną



Czytaj na str. 4

Nasze foto-wywiady

Barbara Krafftówna

była w Gdańsku „chochlikiem"

Przed wyjazdem zespołu Teatru Dramatycznego z Warszawy z „Paradami" Jana Potockiego na występy w Teatrze Narodów w Paryżu rozmawialiśmy z Barbarą Krafftówną, grającą rolę Zerzabelli.

— Kreuje Pani jedyną rolę kobiecą w „Paradach". Jak się Pani czuje wśród ośmiu mężczyzn na scenie, a w ogóle wśród mężczyzn w życiu?

— Jako Zerzabella kocham, jestem przedmiotem pożądania Gila i Leandra, porywają mnie nawet piraci. Muszę przyznać, że dobrze czuję się w tej roli. W życiu prywatnym w towarzystwie męskim czuję się równie dobrze jak i w kobiecym, gdyż z mężczyznami można niegorzej poplotkować niż z niewiastami.

— Pani dotychczasowe największe przeżycie teatralne?

— „Parady". A właściwie to wyjazd z tą sztuką do Paryża. No, bo przecież to zaszczyt nie lada być członkiem zespołu, reprezentującego teatr polski w Teatrze Narodów. Przystępując do prób w ubiegłym roku ani nam się nie śniło, że zagramy „Parady" przed paryską publicznością — obok najlepszych zespołów europejskich. Musze tu powiedzieć, że rola Zerzabelli kosztowała mnie wiele wysiłku. W sztuce o charakterze komedii dell' arte gram po





raz pierwszy. Oczywiście boję się występów w Paryżu. Wymagającą publiczność i krytyków francuskich niełatwo zaspokoić, tym bardziej, że Francja obok Włoch jest ojczyzną komedii dell' arte.

— Jakie wydarzenie z pierwszych lat pracy na scenie utkwiło Pani najbardziej w pamięci?

— W Gdańsku, gdzie debiutowałam, przeżyłam swe najcięższe chwile. Grałam chochlika w „Balladynie". Rola wymagała fikania koziołków na wąskich ścieżkach leśnych, które zaczynały się na trzymetrowej wysokości, aby potem spiralnie zejść na poziom sceny. Maszyniści widząc mój strach, wykładali na próbach podłogę materacami, poduszkami — wszystkim co było miękkie. Ale najgorsza chwila nadeszła, gdy zachorowałam. Miałam zaatakowany błędnik — czyli zmysł równowagi. W pewnym momencie poczułam się tak źle, że nie odważyłam się na te gimnastyczne wyczyny na trzymetrowej wysokości. Zaczęłam fikać dopiero na dole. Raptem poczułam, że za chwilę zemdleję. Pamiętam paniczny, obłędny wprost strach, aby nie upaść na oczach widzów. Resztką woli i sił dowlokłam się za małą kurtynkę kulis i tam upadłam. To było naprawdę straszne...

— Niedawno słyszałem w radio uroczą piosenkę „Markietanka" w Pani wykonaniu. Pani rzadko śpiewa. Dlaczego?

— Piosenka to moje duże marzenie. Trzy lata uczyłam się śpiewu. Teraz brak czasu uniemożliwia mi kontynuowanie nauki.

— Czy poza teatrem pasjonują panią jakieś inne problemy?

— A tak. Pedagogika dziecięca — mam przecież małego synka — Piotrusia. Czy będzie również aktorem? Za wcześnie jeszcze o tym mówić. Boję się jednak, że będzie z nim trochę kłopotu, gdyż już dziś lubi pozować i popisywać się.

— Pani plany na najbliższe miesiące?

— Zaraz po przyjeździe z Paryża występ w roli tytułowej w „Księżniczce Turandot" Gocciego w Teatrze Dramatycznym w Warszawie. Na jesieni wyjazd do Paryża na stypendium teatralne Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Rozmawiał: Cz. Chruściński
Fotografował: Zb. Matuszewski